

Polatałabym



Z AGNIESZKĄ GLIŃSKĄ
ROZMAWIA
TADEUSZ NYCZEK

Agnieszka Glińska

43 lata, wrocławianka w Warszawie. Aktorka, reżyserka, pedagog. W 1990 roku ukończyła Wydział Aktorski PWST w Warszawie, cztery lata później na tej samej uczelni (dziś Akademia Teatralna) – reżyserię dramatu. Zagrała w kilku filmach bez znaczenia i jednym bardzo ważnym – „Katyniu” Andrzeja Wajdy. Jedyną główną rolę gra do dzisiaj – we własnym spektaklu „Lekkomyślna siostra” w warszawskim Teatrze Narodowym (premiera 2009 rok). Od debiutu w 1992 roku (Opole – „Arlekinada” Rattigana) wyreżyserowała co najmniej kilkanaście przedstawień, które odniosły prawdziwy sukces i wyrobiły Glińskiej markę jednej z najlepszych i najzdolniejszych inscenizaterek młodośrodkowego dziś pokolenia. Pracowała w Krakowie i we Wrocławiu, ale główne premiery zrealizowała w Warszawie, między innymi „Korowód” Schnitzlera, „Opowieści Lasku Wiedeńskiego” Horvátha, „Kalekę z Inishmaan” McDonagha, „Bambini di Praga” Hrabala, „Testosteron” Saramonowicza, „Norymbergę” Tomczyka, „Pippi Pończoszankę” według Lindgren, a także kilka sztuk Czechowa. Współpracuje również z Teatrem Telewizji. Bardzo wszechstronna, w życiowych planach ma zajęcie się filmem. 4 lutego w warszawskim Teatrze Na Woli odbędzie się premiera „Amazonii” Michała Walczaka w jej reżyserii.

O różnicach między kompromisem a konformizmem, aktorstwie niedzielnym oraz irytacji, gdy nazywają ją dziewczynką, opowiada
AGNIESZKA GLIŃSKA, aktorka i reżyserka

Przyjmijmy, że społeczeństwo niewiele wie o życiu teatralnych reżyserów, a co dopiero reżyserek. Jak wygląda dzień kogoś takiego?

– Kobieta reżyser teatralny wstaje przed 7 rano, robi dziecku śniadanie...

Jednemu? Bo, zdaje się, masz dwoje.

– Dziecku dziewczynce, 8-letniej. Starsze jest męskie, 17-letnie, i chodzi do liceum w Anglii. Tutaj jakoś nie bardzo mógł się dogadać ze szkołami. Niemilosiernie się nudził. A ponieważ świetnie mówi po angielsku, znaleźliśmy pod Cambridge dobrą szkołę publiczną. W przyszłym roku robi maturę. Bardzo jest zadowolony.

Idźmy dalej. 8-letnie dziecko w Warszawie zjada śniadanie...

– ...i idzie do szkoły. Akurat dzisiaj poszło, bo nie zawsze idzie.

?

– Bo chore albo na przykład ja nie mam próby w teatrze i wtedy robimy sobie wagary. Za dużo się nie widzimy i czasem takie wolne obu nam się przydaje. Ale normalnie to lecę na próbę, od 10. Wcześniej jakieś zakupy, dziś jeszcze apteka, takie tam. O 2 próba się kończy. Między 2 a 3 coś w biegu zjeść i na zajęcia ze studentami do szkoły teatralnej. Dzisiaj wyjątkowo nie mam wieczornej próby ani spektaklu, więc mogłam się umówić z tobą. Normalnie tryb mam 12-godzinny, bo jeszcze jakaś logistyka: kto odbierze ze szkoły Jankę, ja czy mąż; kiedy ktoś z nas musi przy niej posiedzieć, by dopilnować gry na skrzypcach, kto ma ją zaprowadzić na angielski i przyprowadzić...

Bywasz kiedyś w domu?

– Gdy nie przygotowuję żadnej premiery, to tak, jasne. Do znudzenia. Ale generalnie raczej jestem w biegu. W amoku, można powiedzieć.

To kontakt z dzieckiem bardziej taki sobie...

– Różnie. Staram się, ale mogłoby być lepiej. Z Frankiem było podobnie, zwłaszcza kiedy

był mały. Zawsze jakoś tak zachrzaniałam. Ale gdy się przyłoży odpowiednie proporcje, to ten wspólnie spędzony czas rekompensuje nam braki. Naprawdę się staram. Dzieci nie są zapuszczone ani pozbawione matki, bez przesady. Oczywiście czuję się zerwana między tym, jak wygląda moje życie, a wzorcami macierzyństwa, które wyniosłam z domu. Mama pracowała, ale tak jakoś na boczku, bo w zasadzie cała poświęcała się rodzinie. A ja na przykład nie gotuję, kompletnie się do tego nie nadaję. Dlatego albo Krzysiek gotuje (*Krzysztof Stelmasyk, aktor, mąż Glińskiej*), albo jemy na mieście.

A właśnie, mąż aktor. Jak to jest mieć aktora w domu? W teatrze reżyser to bóg ojciec, aktor jest od wykonywania zadań. A w waszym przypadku ojciec to na dodatek kobieta. Jak dajecie sobie z tym radę w domu?

– Super. Świetnie się dogadujemy. Bardzo lubimy ze sobą pracować. Mamy podobny gust, poza tym lepiej niż ktokolwiek wiem, na co Krzyska stać, co może jeszcze ciekawego na scenie pokazać.

Kłócie się czasem?

– Jeśli chodzi o sprawy teatralne, to nie.

Jesteś racjonalistką czy wierzysz w astrologię?

– Jedno i drugie. A co?

Szperając tu i ówdzie w materiałach o tobie

– bo choć się znamy, to przecież nie aż tak

– znalazłem horoskop, który jakiś maniak

ulożył dla ciebie. Słuchaj, czy się zgadza:

urodziła się 18 lutego 1968 we Wrocławiu...

– Dotąd się zgadza. Jestem Wodnik jakby co.

Dalej jest tak, że jesteś „żywiol aktywny”,

„wulkan niewyczerpany”, masz „talent

uwodzenia mężczyzn tak samo jak uwodzenia

widzów w teatrze i jesteś bardzo skuteczna

w docieraniu do ludzkich emocji”. Poza tym

Wodniki są „albo nieśmiałe, albo agresywne

i głośne. Nie mają uprzedzeń i potrafią spojrzeć

na problem z punktu widzenia innej osoby. →



Bereźnicki
15/11

” Reżyseria jest fajna. Można coś stwarzać, budować jakąś gęstwinę ludzką, szukać relacji... Przede wszystkim jest to forma kontaktu z ludźmi. Przez twórczość. Coś wspaniałego. Niczego więcej wtedy nie potrzebuje

→ **Lubią przebywać w samotności i modlić się, jeśli są religijne**.

– Agresywna nie jestem. Lubię przebywać w samotności, choć nie jestem religijna.

„Często mają zdolności dramatyczne, aktorskie. Dobrze się sprawdzają w zawodach: fotograf, pilot, pisarz, nauczyciel, aktor”.

– O, pilot! Najbardziej mi się podoba ten pilot. Polatałabym.

Wolałabyś być pilotem niż reżyserem?

– Jak już, to najbardziej chciałabym być lekarzem. Ale pilotem mogłabym być.

A lekarz skąd?

– To jedyny zawód, który ma sens. Taki naprawdę głęboko ludzki sens.

Ciekawe, bo w podobnej rozmowie to samo

powiedział mi kiedyś Andrzej Łapicki.

– Tak? No bo cały ten teatr to trochę takie kieszonkie kapusty. Wszyscy jesteśmy jakby odszczepieńcy, nie? Ja wiem, to jest fajne, ale głównie polega na lataniu nad ziemią, bez specjalnego styku z rzeczywistością. Niby konstruujemy sobie jakąś własną rzeczywistość, ale to jest w sumie zabawa dla niewielu.

To dlaczego nie zostałam lekarzem?

– Właściwie przez przypadek. Całe liceum wybierałam się na medycynę. Dwie rzeczy zdecydowały, że w końcu nie poszłam. Jedno, że cała klasa chciała iść na medycynę i to mnie strasznie wkurzyło, bo co będę jak wszyscy. A drugie, że chciałam na studia wyjechać z domu. Wymyśliłam sobie najpierw japonistykę, a potem jakoś tak kompletnie przez przypadek znalazłam się w szkole teatralnej.

Jako aktorka.

– No tak. Nie przychodziło mi w ogóle do głowy, że można iść na reżyserię. Zresztą w tamtych czasach, żeby pójść na reżyserię, trzeba było już mieć jakieś studia.

Dlaczego potem rzuciłaś aktorstwo?

W zasadzie zarzuciłaś, bo czasem jednak grywasz.

– Nie umiałabym być człowiekiem do wynajęcia. Zdałam sobie z tego sprawę na czwartym roku. Grałam w dyplomie, siedziałam w garderobie i nagle pomyślałam sobie: to tak ma wyglądać moje życie? W najlepszym razie? Czekać w garderobie na swoje wejście? Nie o to mi chodziło.

A reżyseria to było to, o co chodziło? Bo jest się panem i władcą? Bo się decyduje samemu o sobie i innych?

– Reżyseria jest fajna. Można coś stwarzać, budować jakąś gęstwinę ludzką, szukać relacji... Przede wszystkim to jest forma kontaktu

z ludźmi. Przez twórczość. Coś wspaniałego. Niczego więcej wtedy nie potrzebuję. Żadnego życia towarzyskiego. Wszystko się w teatrze mieści.

Widziałem cię w życiu tylko w dwóch rolach aktorskich, ale obie bardzo mnie zafrapowały. Najpierw zagrałaś dyrektorkę szkoły u Wajdy w „Katyniu”. Wajda słynie z tego, że obsadza aktorów bardzo intuicyjnie, „po charakterach”, szuka specjalnych związków między...

– Nie, to nie tak! Było całkiem inaczej! Jeszcze kiedy byłam na reżyserii, Wajda miał z nami zajęcia. I wciąż mi mówił: niech pani nie reżyseruje, niech pani gra! Po co pani ta reżyseria? Ja się unosiłam, obrażałam, że co on tak, a właściwie, że będę reżyserem... Potem przy różnych okazjach wciąż mi powtarzał: niech pani gra! Niech pani gra! A ja, że nie, nie będę grała i już. Później tak się złożyło, że chodziłam do jego

„Jeszcze kiedy byłam na reżyserii, Wajda miał z nami zajęcia. I wciąż mi mówił: niech pani nie reżyseruje, niech pani gra! Po co pani ta reżyseria?”

AGNIESZKA GLIŃSKA

szkoły filmowej, bo marzyło mi się zrobić coś dla filmu, i on akurat robił „Katyn” i mówi: mam dla pani rolę! Aha, powiedziałam, jak ma pan dla mnie rolę, to gram. I zagrałam.

Ciekawi mnie, dlaczego właśnie tobie dał tę rolę – w tym jednym z powojennych wątków „Katynia”? Czas są parszywe, komuniści bezwzględnie zaprowadzają w Polsce swoje porządki. Mamy dwie siostry. Starsza, nauczycielka, konformistka, wybiera pracę u podstaw. Nie chce z nikim i z niczym walczyć, wie, że to beznadziejne. Druga, wojownicza, wierna sobie i konsekwentna, wybiera walkę aż do zatrącenia. Zagrałaś konformistkę.

– Jest cienka granica między konformizmem a mądrym kompromisem. Mnie to interesowało, co i jak myśli ktoś taki, kto nie leci z gołą głową na czołgi, ale próbuje coś przechować, uratować. Niech następne pokolenia poniosą to dalej. To mi się wydawało po prostu mądrzejsze, rozsądniejsze. Zwłaszcza na tle tamtych czasów. Nie bałam się, że moja Irena będzie jedynymiarowa czy źle oceniana. Dostałam potem dużo dobrych głosów. Takich, że straszna baba, zdrajca, potwór, ale też

że ciekawa, niejednoznaczna postać, że generalnie miała rację. Nawet pan Andrzej potem mi powiedział, że nie spodziewał się, iż tak to zagram, w tę stronę.

Świetnie to zrobiłaś. Jedną z najlepszych ról w całym „Katyniu”.

– No i zobacz: nie grałam, nie grałam, a gdy już zagrałam, to u Wajdy. Mogło być gorzej.

Druga rola kompletnie inna: tytułowa w „Lekkomyślnej siostrze” Perzyńskiego, którą sama wyreżyserowałaś w Narodowym w 2009 roku. Ta Mania to jakby antyteza Ireny z „Katynia”: urwała się mężowi, zostawiła małe dziecko, poleciała w świat za facetem z forsą...

– Manię rozumiem. Strasznie by coś chciała, ale nie wie jak.

To jak, tamtą konformistkę rozumiesz i tę nonkonformistkę rozumiesz?

– Rozumiem! I tę, i tamtą.

Ale któraś chyba musi być ci bliższa?

W Perzyńskiego sama siebie obsadziłaś, pierwszy raz w życiu, coś to musiało znaczyć?

– Tak naprawdę to Janek Englert mnie obsadził (aktualny dyrektor Teatru Narodowego, jeśli ktoś nie wie). Cały czas mu mówiłam, że tu nie ma nikogo do tej roli, a on: no to ty zagraj. Akurat zobaczyłam wtedy „Dwa dni w Paryżu” Julie Delpy. Sama napisała scenariusz, sama wyreżyserowała i zagrała. Świetny film, taki woodyallenowski trochę. Zobaczyłam go i pomyślałam sobie: kurczę, co ja się tak tu kryguję, kokietuję. Skoro ona mogła napisać, wyreżyserować i zagrać, to ja nie mogę? No i zagrałam. Ale to robota na raz, nie potworzyłabym tego. Być jednocześnie twórcą i tworzyć to nie jest dobry pomysł. Człowiek się zapętla i zaczyna mieć nie po kolei podcasz roboty. Chociaż lubię grać tę Manię wariatkę.

Czyli jesteś tak zwaną aktorką niedzielną.

– No tak. Ale... Wiem już teraz na przykład, bez zbytniej skromności, że coś mnie jednak wyróżnia na tym naszym aktorskim rynku. I jakąś ciekawą rolę filmową zagrałabym pewnie tak jak nikt inny. Tylko nie widzę takich scenariuszy i na razie nikt nie wpadł na pomysł, żeby Glińską w czymś oryginalnym obsadzić.

Uwaga, reżyserzy, aktorka do odkrycia!

– O, żeby zaraz aż tak... Poza tym wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma.

A u Saramonowicza byś zagrała?

– (Agnieszka wybucha śmiechem) Nie ma opcji...

Dlaczego? Wystawiłaś przecież jego dwie sztuki. „Testosteron” z Montownią to był wasz wielki sukces, lata siedi kompletami.

– No tak, ale on wtedy nie był żadnym znanym filmowcem. Po prostu zrobiłam z chłopakami śmieszna sztukę i tyle.

A propos „Testosteronu”, satyry na erotyczne bziki facetów – taki, powiedzmy, feminizm to jest dla ciebie jakaś sprawa?

– Jeśli pytasz generalnie, to jest sprawa i w naszym kraju jeszcze długo będzie. A jeśli pytasz o doświadczenia kobiety reżysera, to nauczyłam się sobie z tym radzić. Jedyne, co mnie naprawdę wkurza, to to, że po prawie 20 latach pracy w teatrze jestem „dziewczynką”. Mam 43 lata. Agnieszka Zawadowska, scenografka, z którą pracuję, podobnie. A wciąż słyszymy: no jak tam, dziewczynki? Ile trzeba mieć lat, żeby przestać być dziewczynką?

Czujesz jakieś pokrewieństwo dusz ze swoimi rówieśnikami? Jarzyną, Warlikowskim, Miśkiewiczem, Klatą? Oni w większości wyszli spod ręki Krystiana Lupy i choć dzisiaj osobni, piętno pewnego pokoleniowego stylu da się w nich wyczuć. A ty wyglądasz na kogoś całkiem osobnego, podróżniczkę po bardzo rozmaitych terytoriach.

– Ja właściwie też zaczynałam w Krakowie, w Starym robiłam swoje pierwsze spektakle. „Lunatyków” Krystiana, których wtedy oglądałam, do dzisiaj uważam za najważniejsze przedstawienie w życiu. Otworzyło mi oczy na teatr, czym może być i tak dalej. Przesiałam Krakowem, tamtą atmosferą. Zawsze jednak wolałam chodzić swoimi ścieżkami. Lubię robić spektakle, które sama chciałam oglądać. I nie zawsze to jest to, co „powinnam” robić, żeby gdzieś przynależeć.

Masz swojego mistrza?

– Peter Stein. Bardziej z rozmów z nim niż z widzianych przedstawień, ale tak. Peter Stein. Do dzisiaj noszę przy sobie wywiad z nim zrobiony dla „Wyborczej” przez Pawłowskiego z 10 lat temu. Znam go na pamięć. On tam powiedział wszystko, co najważniejsze, o teatrze, przede wszystkim o Czechowie.

Czechow to twoje *spécialité de la maison*.

Prawie całego wystawiłaś, niektóre dramaty po parę razy.

– Nie zrobiłam „Wujaszka Wani” ani „Iwanowa”. Z Czechowem mogłabym iść przez życie. Podobnie widzimy ludzi. W podobnym miejscu ustawiamy kamerę na świat. On jest taki przenikliwy i... (Agnieszka długą chwilę się zastanawia) ...i czasem myślę, że nie warto nic innego wystawiać w teatrze. To jest oczywiście nieprawda, warto na przykład robić Szekspira, ale ja nie umiem. Warto robić Becketta, ale też nie wiem, jak dziś powinno to wyglądać. A z Czechowem spotykam się w dowolnym momencie swojego życia i zawsze się dogadujemy. I zawsze się od niego uczę.

Ze swoimi studentami Akademii Teatralnej też wystawiałaś Czechowa. Naprawdę tacy

młodzi ludzie mogą coś z niego pojąć? Czechow zawsze wydawał mi się bardzo dla dorosłych.

– Absolutnie tak. Ci, którzy przychodzą do tej szkoły, mają dość specjalną wrażliwość, która pozwala im zrozumieć z natury człowieka trochę więcej, przecież to ich praca. Najważniejsze to dobrze Czechowa przeczytać. Wydaje mi się, że ja umiem i potem potrafię to czytanie im przekazać.

Jak długo tu uczysz?

– Ponad dychę.

Widzisz jakieś różnice między studentami sprzed dekady a tymi dzisiejszymi?

– Coraz większa jest na przykład trudność komunikacyjna na bazie podstawowych lektur. Nie czytali, nie widzieli. Zawsze zaczynam od tego, że na początku roku daję im na przykład listę filmów, które muszą zobaczyć, żebyśmy mogli się dogadać. Jesteśmy w jakimś ciemnym lesie z edukacją. Chociaż mają o wiele lepszy dostęp do wiedzy niż my kiedyś.

To prawda, ale z drugiej strony ta wiedza, choćby w postaci kultury masowej, ma znacznie lepszy dostęp do nich.

– I robi im z mózgow galarę. Mnie na przykład bardzo szkoda, że nie widzieli pewnych przedstawień i mają do zobaczenia tylko to, co mają do zobaczenia. Brakuje nam wspólnych odniesień.

Za chwilę, dokładnie 4 lutego, w Teatrze Na Woli odbędzie się twoja najnowsza premiera – „Amazonia”. Już nie Czechow, nie Horváth, nie Perzyński ani Auster, tylko jeden z młodych naszych dramaturgów Michał Walczak. Sztuka maksymalnie współczesna.

Trochę o tym, o czym teraz mówimy.

– O dziewczynach i chłopakach, którzy skończyli taką szkołę jak ta nasza teatralna i nie bardzo wiedzą, co dalej w życiu robić. Jak się znaleźć w tak zwanej naszej rzeczywistości.

Chcieliby zrobić coś bardzo ambitnego, nauczono ich w szkole, że trzeba bić się o wysoką sztukę, ideową i czystą, a tu nie ma z czego czynszu zapłacić i trzeba pochodzić po ulicy przebrany za kufel piwa albo plastikową pizzę. W najlepszym razie zagrać w kultuńskim serialu.

– No tak. To jest utkane z naszego bólu bardzo tu i teraz, że tak powiem. Robię to z myślą o nich i trochę o samej sobie też.

Mogę coś zacytować? „A może Polska jest krajem pozbawionym rozmachu?

Ze złym klimatem? Kapryśną pogodą?

Może wszystkiemu są winne skoki ciśnienia i wystarczy się przenieść do ciepłych krajów, gdzie będziemy prawdziwi, bardziej witalni, pogodniejsi, radośni? Może wystarczy przenieść Polskę do Amazonii?”.

– Co to jest? Skąd to wzięłeś?

Z sieci. Wypowiedź autora przed premierą. Jak lubię Walczaka, to to przecież brednie jakieś.

– Ojej, coś pohulał! Przecież w ogóle nie o to chodzi. „Amazonia” jest o bezradności ludzi, przyszłych czy niedoszłych artystów, których ten świat jakoś wysysa. Jak nie sekciarstwo, to telewizyjna machina do przezwycięzania i wypływania. Walczak pisze o swoich rówieśnikach, którzy wchodzą w świat z nadzieją, że mają jakiś wybór – powiedzmy między sztuką a chałturą. Ale okazuje się, że właściwie żadnego wyboru nie ma. Biedni są. Bo jeśli ten nasz polski mózół transformacyjny pod względem gospodarczym w miarę się udał, to w sprawie kultury wszystko się pomieszało i nic nie rozwiązało. Była wielka zawierucha, potem trzeba było rozsypane kawałki odnaleźć i poukładać, ale źle poprzymocowano naklejki na różne rzeczy i nie da się tego od nowa zlepić. Nie wiadomo, jak i co myśleć dzisiaj o kulturze, o sztuce. Czy to jest dobro narodowe, czy zwykły produkt handlowy? Gdybym siedziała w szpitalu i leczyła ludzi, widziałabym w tym jakiś konkretny sens. A teatr, sztuka... To jest jakieś robenie wody z mózgu. Czasami chadzam jeszcze do teatru. Zdarzają się rzeczy, które mi się podobają. Pojedyncze. Ale generalnie nie wyrabiam.

Wszyscy dookoła, zwłaszcza młodzi reżyserzy, głoszą, jaki ten świat jest porozbijany.

Rozpacz i dno, nic się kupy nie trzyma, więc nie ma co opowiadać historii z początkiem i końcem. Też tak myślisz?

– Uwielbiam opowiadać historie! Nie kumam zdekonstruowanego teatru. Ludzie nigdy się nie znudzą opowiadaniem historii. Ważne tylko, żeby forma nie była archaiczna, sztamkowa i żeby wynikała z czasów, w których żyjemy. No i cały czas pamiętam, czego nas uczyła Maja Komorowska: że zawsze na końcu trzeba dać nadzieję.

Dlatego biegasz po różnych gatunkach?

Od ciemnego dramatu, przez komedię, po teatr dla dzieci?

– Jiří Menzel pytany, dlaczego robi tylko komedie, powiedział, że gdy się zrobi komedię, to od razu wiadomo, czy jest zła, czy dobra. Agdy się weźmie inny tekst i wszystko spierdoli, to zawsze można powiedzieć, że tak właśnie miało być. A dzieci? Dzieci to najgenialniejsza widownia i sama radocha robić coś dla niej.

Po co ci teatr?

– Żeby nie zajmować się życiem.